

EMIL ZOLA

**Zgon Oliwiera
Becaille**

EMIL ZOLA

Zgon Oliwiera Becaille

TŁUM. ZYGMUNT NIEDŹWIECKI

I

Umarłem w sobotę o godzinie szóstej z rana, po trzydniowej chorobie. Biedna moja żona szukała czegoś od dłuższej chwili w kufrze z bielizną. Gdy się podniosła i zobaczyła, że leżę z otwartymi oczyma, bez tchu, zeszywniały, podbiegła, myśląc, że to zemdlenie, i nachyliwszy się nad moją twarzą, dotknęła moich rąk. Naraz strach ją ogarnął i tracąc głowę, jęknęła z lez wybuchem:

— Boże mój, Boże!... Umarł!...

Słyszałem wszystko najwyraźniej, tyle tylko, że stłumione dźwięki zdawały się mnie dolatywać jakby gdzieś z bardzo daleka. Jedyne lewym okiem mogłem jeszcze podchwycić blask niewyraźny, bladawe światło, w którym roztopiały się kształty przedmiotów, prawe me oko było zupełnie bezwładne. Było to omdlenie całego organizmu, jakby od porażenia piorunem. Wola ma zastygła, wszystkie fibry ciała wypowiedziały posłuszeństwo. W unicestwieniu tem prawie całej mojej istoty fizycznej jedna tylko myśl żyła jeszcze, snując się wolno i leniwie, choć z nieskażoną wyrazistością.

Moja biedna Małgorzata, padłszy na kolana przy łóżku, powtarzała raz po raz rozdzierającym głosem:

— Nie żyje!... Boże mój!... Nie żyje!...

Byłże śmiercią w rzeczy samej ten stan dziwnego strętwienia, to pogrążenie ciała w bezruchu, gdy równocześnie inteligencja nie przestawała ani na chwilę funkcjonować!... A może dusza moja opóźniła się tylko w głębi czaszki, zanim i ona uleci. Podobne kryzysy nerwów nawiedzały mnie od dzieciństwa. Dwukrotnie, kiedy byłem jeszcze całkiem mały, napady ostrej gorączki omal nie pozbawiły mnie życia. To też otoczenie moje przyzwyczało się uważać mnie za dziecko słabowite i ja sam wyperswadowałem Małgorzacie sprowadzanie lekarza, kiedyś się uczuł zmuszonym położyć do łóżka zaraz z rana po naszym przyjeździe do Paryża, do tego hotelu przy ulicy Dauphiné. Trochę odpoczynku wystarczy; to znużenie podróży dało mi się nieco we znaki. Byłem jednakże pełen obaw. Opuściliśmy bowiem całkiem niespodzianie prowincję, z bardzo szczupłymi środkami, mając zaledwie o czem doczekać mojej pierwszej pensji za miesiąc w biurze, w którym otrzymałem miejsce. I oto nagle kryzys zabrała mnie ze świata.

Była to śmierć naprawdę?... Wyobrażałem ją sobie w postaci nocy czarniejszej, głębszego, niżeli to, milczenia. Już od lat dziecięcych śmierć przejmowała mnie zawsze szczególnym strachem. Ponieważ byłem wątpy i ludzie mnie pieścili z jakimś odcieniem litości, myślałem więc ciągle, że długo nie pożyję i że wcześniej od niejednego powędruję na tamten świat. Nie byłem też nigdy w stanie oswoić się z lękiem, jakim mnie przejmowała myśl o znalezieniu się w ziemi, chociaż myśl o tem nie opuszczała mnie w dzień ani w nocy. Wzrósłem z tą ideą fixe. Niekiedy, po kilku dniach rozmyślań, zdawało mi się, że przemożem mą trwogę. Więc cóż stąd?... Umrze człowiek i skończona historia. Wszyscy przecie w końcu umrzeć muszą i trudno sobie nawet wystawić urządzenie dogodniejsze i lepsze. Poweselałem niemal, doszedłszy do tej konkluzji, dzięki której mogłem odtąd śmierci spoglądać prosto w twarz. W tem nagły dreszcz mnie mroził, zapędzając napowrót w jarzmo opętania, jakbym porwany ręką olbrzyma, zawisł nad czarną otchłanią. Przerazająca myśl o grobie wracała, obalając wszelkie rozumowania. Ileż to razy nocą, zbudziwszy się nagle, zrywałem się, nie mogąc sobie zdać sprawy, co za tajemniczy po-

dmuch przeleciał we śnie nademną, łamiąc rozpaczliwie ręce i jęcząc: „Boże mój! Boże!... Więc muszę umrzeć?!...” Trwoga przytłaczała mi kamieniem piersi a nieuchronna konieczność zgonu nabierała jeszcze więcej ohydy w zamęcie ocknienia. Z trudem jedynie udawało mi się napowrót zasnąć, bo i sen przejmował mnie lękiem przez podobieństwo swoje do śmierci. Jeżeli zasnę kiedy na wieki?... Jeżeli, zamknąwszy oczy, nie otworzę ich już więcej?...

Nie wiem, czy inni ludzie przechodzą kiedy także podobne męki. Mnie one zatruwały życie. Pomiedzy mną, a wszystkim co kochałem, stała bez przerwy śmierć. Pamiętam chwile największego szczęścia, spędzone z Małgorzatą. Gdy w pierwszych miesiącach naszego pożycia spoczywała u mego boku uśpiona i kiedym, myśląc o niej, puszczał wodze rojeniom o przyszłości, zawsze obawa fatalnego rozstania mąciła moje szczęście, burzyła wszelką nadzieję. Będziemy się musieli rozstać może już jutro?... za godzinę może... I ogarniało mnie niezmierne zniechęcenie, w którym zapytywałem sam siebie, na co ten raj wólnego życia, skoro musi się on kiedyś zakończyć rozbratem tak okrutnym?... Imaginacja moja poczęła się lubować w żalobnych obrazach. Kto też z nas pierwszy umrze?... ja, czy ona? I obie alternatywy lży wyciskały z mych oczu, roztaczając przedemną dalsze obrazy naszych zwichniętych istnień. W najszcześniejszych okresach mego życia miewałem z tego powodu napady naglej melancholii, których ludzie nie mogli zrozumieć. Dziwili się wszyscy na widok mojej ponurej miny w chwilach, kiedy mnie spotkało coś przyjemnego. Powodem zaś tego była myśl o nicości, co nagle przemknęła przez mą radość. Straszliwe „po co?” dźwięczało bez ustanku, jak dzwon pogrzebowy, w moich uszach. Co jednak w podobnych udręczeniach jest najprzykrzejszem, to, że się z niemi człowiek porać musi w zawstydzającej tajemnicy, nie mając odwagi nikomu wyznać swojej męki. Nieraz z pewnością i męża i żonę, gdy zgasiwszy światło, spoczywają przy sobie, przejmie ten sam dreszcz, lecz ani jedno ni drugie nie wspomni o tem, ponieważ człowiek nie lubi mówić o śmierci, tak samo, jak nie wygłasza pewnych słów sprośnych. Wzbudza ona w nas taki strach, że nawet nie wspominamy jej imienia, kryjąc ją jak się ukrywa swą pleć.

Rozmyślałem obecnie nad temi wszystkimi rzeczami, a moja droga Małgorzata nie przestawała ani na chwilę szlochać. Męczyło mnie to straszliwie, że nie mogę ukoić jej żalu, ani jej dać do poznania, że nie doświadczam żadnych fizycznych cierpień. Jeśliby śmierć nie miała być w rzeczy samej niczem więcej nad to omdlenie ciała, nie miałem doprawdy racyi tak się jej bać całe życie. Stan to był pełen jakiejś samolubnej błogości i pokoju, wolny od wszelkiej troski. Nad wszystkimi innemi władzami mej duszy pamięć moja nabrała największej żywości. Błyskawicznie poczęła się przedemną przesuwać cała moja egzystencya, niby widowisko, któremu się przypatrywałem oczyma obcego. Dziwny ten i ciekawy stan bawił mnie. Rzekłbyś: głos daleki opowiada ci własne twoje dzieje.

Nawinęło mi się między innemi wspomnienie pewnego zakątka wiejskiego w pobliżu Guérande, na drodze z Piriac: laszek sosnowy, spuszcający się na skrócie drogi bezładnie po stokach skał. Mając lat siedm, chodziłem tam często z moim ojcem do wpółwalonego domu, gdzieśmy się posilali naleśnikami u rodziców Małgorzaty, solarzy, utrzymujących się z ciężką biedą z pobliskich żup. Potem przypomniało mi się kolegium w Nantes, gdzie wzrósłem w nudzie starych murów, wśród ustawicznej tęsknoty za rozległym widnokretem Guérandy, za słonemi bagnami, ciągnącemi się jak okiem sięgnął pod miastem, i za bezbrzeżnem morzem, rozeslanem w płaszczynę bez końca u stóp niebios.

W tem miejscu czarna jama przerywała tok moich wspomnień: mój ojciec umarł. Dostawszy w administracyi szpitala posadę urzędnika, rozpocząłem teraz monotony żywot, którego jedyne jasne chwile przypadały w niedzielę, w godzinach odwiedzin staro domostwa w Piriac. Interesa szły tam coraz gorzej, żupy solne przestały w końcu prawie zupełnie nieść dochód, okolica popadała w coraz straszniejszą nędzę. Małgorzata była wtenczas jeszcze dzieckiem. Lubila mnie bardzo, ponieważ wozilem ją zawsze na taczkach. W kilka lat potem jednak, w dniu, w którym ją poprosilem o jej rękę, ruch przelęknienia, jakim przyjęła te oświadczyzny, powinien mnie być oświecić, że się jej wydawałem wstrętnym. Rodzice wszakże oddali mi ją bez wahania, gdyż uwalniało ich to od kłopotów. Przez dziecięcą uległość nie sprzeciwiła się ich woli, a oswoiwszy się raz z myślą wyjścia za mnie, zdaje się, że przestała się tem nawet martwić. W dniu naszego

ślubu w Guérande lało, pamiętam, jak z cebra, tak, że za powrotem do domu Małgorzata musiała zamienić ślubną toaletę na zwykłą sukienkę, tak zmokła.

Oto cała ma młodość. Czas jakiś żyliśmy w tamtych stronach. Raz jednak, wróciwszy z biura do domu, przyłapałem mą żonę na rzewnym płaczu. Nudziło jej się tam, chciała, abymy się przenieśli gdzieindziej. W pół roku zaoszczędziłem po groszu niewielką kwotę przy pomocy prac nadobowiązkowych. Ponieważ jeden z dawnych przyjaciół mej rodziny zajął się wyszukaniem mi miejsca w Paryżu, zawiozłem tam drogą dziecinę moją, by więcej nie miała powodu do płaczu. W pociągu kolejowym śmiała się już. Za nadejściem nocy wzięłem ją na kolana, aby jej było miękko spać, bo ławki w trzeciej klasie są twarde!

Wszystko to należało obecnie do przeszłości. W tej chwili bowiem byłem już oto tylko nieboszczykiem, zmarłym w ciasnym hotelowym łóżku, podczas kiedy ma żona, ukłękłszy na podłodze, biadała nad moją śmiercią wśród lkań. Biała plama, którą dostrzegało lewe moje oko, bladła stopniowo; pamiętałem jednak dokładnie rozkład pokoju: po lewej komoda, po prawej kominek, na środku którego rozbity zegar bez wahadła wskazywał godzinę dziesiątą minut sześć. Okno wychodziło na ulicę Dauphiné, głęboką i czarną. Cały Paryż przewalał się na nią i to wśród takiego zgiełku, żem słyszał, jak od niego szyby brzęczą.

Nie znaliśmy w Paryżu oboje ani żywej duszy. Ponieważ przyspieszyliśmy nasz przyjazd, oczekiwano mnie więc w mem biurze dopiero w najbliższy poniedziałek. Odkąd leżałem w łóżku, szczególne wrażenie wzbudzało we mnie to uwięzienie w nieznanym pokoju, do którego wtrąciła nas podróż, oszołomionych jeszcze piętnastoma godzinami jazdy kolejowej, otumanionych zgiełkiem ulicznym. Żona moja pielegnowała mnie z tym samym co zawsze uśmiechem dobroci; czułem jednak aż nazbyt dobrze, jak bardzo musiała być stroskana. Od czasu do czasu podchodziła ku oknu, aby wyjrzeć na ulicę, po czym wracała wybladła, przerażona ogromem tego Paryża, w którym nie znała ani jednej cegielki, a który huczał dokoła nas tak straszliwie. Co ona pocznie, jeśli się nie obudzę?... Co się z nią stanie w tem olbrzymim mieście, samą, bez żadnej opieki, nieświadomą niczego?...

Ujawszy jedną z rąk moich, bezwładnie z brzegu łóżka zwisłą, poczęła ją całować, powtarzając jakby w obłądnie:

— Oliwierze!... Odezwiż się!... Mój Boże!... Umar!... umar!...

Jednakże śmierć nie jest nicością zupełną, pomyślałem, skoro byłem w stanie słyszeć i rozumować. A tylko nicość przerażała mnie od dzieciństwa. Nie byłem nigdy w stanie wyobrazić sobie całkowite zniknięcie mego ja, kompletne unicestwienie tego, czem jestem, i to na zawsze, na wieki wieków, z wykluczeniem powtórnej kiedykolwiek egzystencji. Dreszcz mnie nieraz przebiegał, kiedym napotkał w jakiej gazecie jedną z dat przyszłych najbliższego stulecia i pomyślał: Nie będzie mnie już z pewnością podówczas przy życiu; a ów rok przyszłości, której nie obaczę, w której nie będę już istniał, ranił mnie w samo serce. Czemuż nie jestem światem całym!... i czemu nie runie wszystko po mem odejściu!

Śnić o życiu, spoczywając w uścisku śmierci, oto czego się zawsze spodziewałem. Ale stan, w jakim się znajdowałem obecnie, nie był przecie śmiercią. Przebudzę się z niego z pewnością lada chwila. Tak jest, tylko patrzeć, jak się podniosę na mem posłaniu i ścisnąc w ramionach Małgorzatę, otrę jej łzy. Jakaż to będzie radość odzyskać się wzajem i o ileż silniej będziem się potem kochać!... Odpocznę jeszcze ze dwa dni, a potem pójdę do biura. Nowe życie potoczy się ku nam, szersze, szczęśliwsze. Lecz mi się z tem nie spieszyło. Zbyt byłem na razie przygnębiony. Małgorzata źle jednak czyniła, oddając się takiej rozpaczycy, dlatego tylko, że nie mam dość sił, by zwrócić do niej na poduszce głowę i uśmiechnąć się. Jeżeli się odezwie raz jeszcze: — „Umar! o Boże mój! umar!...” — przytulę ją do siebie i aby jej nie przestraszać, szepnę jej w uszko cichutko:

— Ależ nie, moje dziecko, ja tylko spałem. Widzisz przecie, że żyję i że cię kocham jak dawniej.

II

Na nieustanny płacz Małgorzaty drzwi się naraz roztwarły i jakiś głos zawołał:

— Cóż się takiego stało, pani sąsiadko?... Pewnie nowa kryzys!... Czy zgadłam?

Poznałem głos. Należał on do pani Gabin, niemłodej już kobiety, mieszkającej obok nas. Okazywała nam ona dużo uprzejmości od samego przyjazdu, wzruszona naszym położeniem. Opowiedziała nam zaraz całą swoją historię: nieużyty właściciel domu sprzedał jej meble tamtej zimy i odtąd mieszkała w hotelu razem z dziesięcioletnią córeczką Adelą. Wycinały obiedwie abażury, zarabiając do czterdziestu sousów dziennie na tej robocie, i z tego żyły.

— Boże! spytała naraz zmienionym głosem — czyżby to już było po wszystkim?...

Domyśliłem się, że się musiała do łóżka przybliżyć. Popatrzawszy zapewne na mnie, dotknąwszy mnie, dodała z współczuciem:

— Moje biedne dziecko!... moje biedne!...

Małgorzata wyczerpana, szlochała istotnie jak dziecię. Pani Gabin podniosła ją więc i posadziła w kulawym fotelu, stojącym obok kominka, poczem jak tylko mogła, próbowała ją tulić i pocieszać.

— Kiedy bo naprawdę... zaszkodzi pani sobie... Dlatego, że mąż umarł, nie potrzebuje pani przecie samą siebie także uśmiercać... Prawda!... Straciwszy mego Gabina, desperowałam tak samo jak pani, trzy dni nie wzięłam nic w usta!... Lecz czy mi to co pomogło?... Przeciwnie, zwiększało tylko mój ból... Ależ na miłość boską!... bądźże pani rozsądną!...

Małgorzata poczęła się zwolna uspokajać, aż i ucichła. Była bez sił. Od czasu do czasu jednak porywał ją nowy paroksyzm łez. Tymczasem staruszka zaokupowała pokój z gderliwą obcesowością.

— Nie potrzebuje się pani o nic troszczyć... — powtarzała w kółko. — Moja Dédé wróci niebawem, poszła właśnie po robotę... A potem sąsiedzi powinni się wzajemnie wspomagać... Czy pani już swoje kufry ze wszystkim rozpakowała?... Ale jakaś bielizna będzie jeszcze w komodzie?...

Usłyszałem, jak otwarła szufladę. Musiała wyjąć serwetę, którą przykryła *nachtkastlik*. Następnie usłyszałem pocieranie zapalki, co mnie naprowadziło na myśl, że zapala przy mojem łóżku, w braku woskowej, świecę z kominka. Towarzyszyłem słuchem i myślą każdemu jej poruszeniu i zdawałem sobie sprawę z każdej jej czynności.

— Biedny pan! — lamentowała. — Ale to szczęście, że usłyszała pani płacz, kochana pani.

Naraz niewyraźne światelko, jakie dostrzegalem jeszcze do tej chwili lewem mem okiem — znikło. To pani Gabin zawarła mi powieki. Nie czulem jednak dotknięcia jej palców. Kiedym sobie z tych szczegółów zdał sprawę, zaczął mnie przejmować lekki mróz.

Wtem drzwi się otwarły i dziesięcioletnia psotnica Dédé wpadła, krzycząc fletowym głosem:

— Mamo! Mamusiu!... Ach! ja wiedziałam, że mama jest tu... Masz! oto rachunek: trzy franki cztery sous... Przynoszę dwadzieścia tuzinów abażurów...

— Pst!... cicho!... — uciszała ją matka daremnie.

A ponieważ bęben nie przestawał świergotać, wskazała jej zapewne moje łóżko. Wówczas Dédé umilkła. Odczułem jej przestach; domyśliłem się, że cofa się pewno ku drzwiom.

— Czy pan śpi? — zapytała cichutko.

— Tak jest, idź się bawić — odpowiedziała pani Gabin.

Lecz dziecię pozostało w pokoju. Patrzyła pewno na mnie wytrzeszczonemi oczyma, przelękła, domyślając się, jak przez mgłę. Wtem strach szalony musiał ją ogarnąć, bo obalając krzesło po drodze — uciekła z krzykiem:

— Mamo!... Pan umarł, mamo!...

Nastała głęboka cisza. Małgorzata przestała płakać, nie opuszczając fotelu. Pani Gabin kręciła się ciągle z kąta w kąt. Poczęła wreszcie znowu pod nosem trąkotać:

— Przed okiem dzisiejszych dzieci niczego nie ukryjesz... Na przykład moja mała. Bóg jeden widzi, że chowam ją jak najlepiej. Kiedy idzie za jakim sprawunkiem albo kiedy ją pošlę z robotą, minuty liczę, aby mieć pewność, że ani przez chwilę nie zbijała bąków... Ale co to znaczy, kiedy ona i tak rozumie wszystko... dosyć jej rzucić okiem i już wie... jak teraz... A przecież raz tylko w życiu widziała nieboszczyka wuja Franciszka, w czasach kiedy miała dopiero nie całe cztery lata... Ha no, co pani chce, nie ma już dzieci!...

Przerwała na chwilę, aby bez żadnych przejść zmieniwszy temat, kontynuować:

— Moja biedna dziecino, pozwól pani sobie przypomnieć, że trzeba pozalatiwać pewne formalności, zgłosić to, co się stało, w merostwie, zamówić pogrzeb. Stan pani nie

pozwała naturalnie na zajęcie się tem wszystkim... Co do mojej osoby znów — nie chciałabym pani zostawiać samej... Otóż jeżeliby nie miała nic przeciwko temu, poszłabym zajrzeć, czy pan Simoneau jest u siebie!

Małgorzata nie dała na to żadnej odpowiedzi. Wszystkiemu temu towarzyszyłem słuchem jakby z bardzo daleka. Zdawało mi się chwilami, że się unoszę niby płomyk jakiś, nadzwyczaj subtelny, w powietrzu, wypełniającem pokój, podczas kiedy ktoś inny, bezkształtna masa jakaś, bezwładnie spoczywa na mem łóżku. Swoją drogą byłbym wołał, aby Małgorzata od razu odrzuciła usługi tego Simoneau. Widziałem go trzy czy cztery razy wszystkiego w czasie mej krótkiej słabości. Zajmował jeden z sąsiednich pokoi. Był nadzwyczaj usłużny. Pani Gabin opowiadała nam, że bawi on w Paryżu tylko w przejeździe celem ściągnięcia kilku wierzytelności po swoim ojcu, który wycofał się w swoim czasie z interesów na prowincję, zmarł niedawno. Był to młody człowiek słusznego wzrostu, bardzo przystojny, silnie zbudowany. Nienawidziłem go, prawdopodobnie dlatego, że był taki piękny. Kiedy wczoraj wieczorem wstąpił do nas na chwilę, widok tego junaka u boku Małgorzaty sprawił mi formalne cierpienie! Ona była przy nim taka ładna, taka bielutka!

A on wpatrzył się w nią tak głęboko, kiedy do niego mówiła uśmiechnięta, że bardzo jest łaskaw, zadając sobie trud dowiadywania się o moje zdrowie.

— Otóż i pan Simoneau — szepnęła pani Gabin, wchodząc.

Lekko otworzył drzwi, a Małgorzata na jego widok nowym wybuchnęła płaczem. Pojawienie się jedynej znajomej osoby w Paryżu wskrzesiło w niej przygasły ból. Nie starał się jej wcale pocieszać. Nie mogąc go widzieć w otaczającym mnie mroku, wywoływałem w duchu widok jego twarzy, którą rozpacz biednej kobiety zasepiła smutkiem. A jaka ona musiała być w owej chwili piękna, z rozpuszczonymi blond włosami, z swem błędem liczkami, z temi najdroższymi dla mnie na całym świecie rączkami dziecka, rozpalonemi gorączką.

— Jestem na pani usługi — szepnął Simoneau — i jeżeli pani tylko zechce zdać się ze wszystkim na mnie...

Odpowiedziała mu jakimś urwanem słówkiem... Ponieważ jednak młody człowiek zabierał się do odejścia, pani Gabin zbliżyła się doń i poczęła coś szeptać; w chwili gdy przechodzili koło mnie, usłyszałem, że poruszyła kwestyę wydatków. Są to rzeczy bardzo kosztowne, a bała się, że biedne kobieciątko jest bez grosza. Na wszelki sposób trzeba jej będzie zapytać. Lecz Simoneau prosił staruszkę, aby nie udrećzała Małgorzaty dotykaniem tej sprawy w takiej chwili. Powiedział, że idzie zaraz do mera i że zamówi pogrzeb.

Gdy znów zapanowało milczenie, zapytałem sam siebie, czy długo jeszcze ta zmora będzie trwać. Żyłem — skoro najdrobniejsze fakta w świecie zewnętrznym dochodziły mej świadomości. Mogłem sobie również zdawać sprawę z mego stanu. Musiał tedy u mnie zachodzić przypadek katalepsy, o jakich słyszałem nieraz. Jeszcze w dzieciństwie, w epoce mojej ciężkiej choroby nerwowej, zdarzało mi się niejednokrotnie zapadać w omdlenia, trwające po kilka godzin. Taka sama to kryzys widocznie pogrzyżyła mnie teraz w strętwieniu, jakby pozbawiła życia, wywierając toż samo wrażenie na mych blizkich. Serce jednak odzyszcze po pewnym czasie normalną siłę tętna, krew zacznie po dawnemu krążyć w owisłych mięśniach a wówczas, ocknąwszy się, utulę Małgosię. Rezonując w duchu w podobny sposób, napominałem się usilnie do cierpliwości.

Godziny tymczasem mijały, pani Gabin przyniosła śniadanie. Małgorzata odtrąciła jednak wszelki posiłek. Zeszło i popołudnie. Otwartem oknem wpadał z ulicy Dauphiné straszliwy huk stołecznej ruchawki. Po lekkim dźwięku mosiądzu na marmurowej tafli naktkastlika domyśliłem się, że w lichtarzu muszą zmieniać świecę. Nakoniec zjawił się Simoneau.

— I cóż — zapytała staruszka półgłosem.

— Wszystko załatwione — odparł. — Pogrzeb odbędzie się jutro o jedenastej. Nie kłopotz się pani o nic i nie poruszaj wcale tych rzeczy wobec tej biednej kobiety.

Pani Gabin ozwała się mimo tej uwagi:

— Lekarz od umarłych jeszcze nie był stwierdzić zgonu.

Simoneau poszedł usiąść przy Małgorzacie, dodawał jej odwagi, w końcu zamilkł. Pogrzeb nazajutrz o jedenastej — słowa te brzmiały jak dzwon cmentarny w mojej czaszce. A ten lekarz, którego dotąd nie było widać, ten lekarz od umarłych! jak go nazwała

pani Gabin... Ale spostrzeże on oczywiście natychmiast, że jestem poprostu w letargu, zrobi co należy, i będzie wiedział, jak mnie przebudzić. Czekałem na niego z strasliwą niecierpliwością.

Tymczasem dzień zbiegł. Pani Gabin aby nie tracić czasu, przyniosła od siebie do nas swoje abażury, a nawet, uzyskawszy zezwolenie Małgorzaty, przywołała Dédé, ponieważ nie lubiła dzieci długoo zostawiać samych.

— Dédé, chodź tutaj — szepnęła, biorąc dziewczynkę za rękę — a nie próbuj udawać głuptasa, proszę cię, i nie patrz mi w tamtą stronę, bo będziemy miały z sobą do pogadania.

Zabroniła jej patrzeć na mnie, znajdując, że to nie wypada. Dédé musiała jednak z pewnością pomimo tego zerkać od czasu do czasu w moją stronę, słyszałem bowiem, jak jej matka wymierzała klapsy. Wołała przytem z furją:

— Patrz roboty, albo ci każę wyjść. Pamiętaj, że tej nocy pan przyjdzie cię straszyc.

Obie, matka i córka, rozgospodarowały się na dobre na naszym stole, dźwięk nożyczek, którymi wycinały abażury, dolatywał mych uszu wyraźnie. Te, nad którymi pracowały w danej chwili, musiały mieć wzór delikatny i wymagający roboty skomplikowanej, postępowała ona bowiem powoli; począłem rachować cięcia, by czemś zagłuszyć rosnące me obawy.

W pokoju zaś nie było nic słyhać prócz szcękno nożyczek. Małgorzata musiała się zdrzemnąć zmożona znużeniem. Simoneau powstał dwa razy. Okropna myśl, że gotów on może korzystać z snu Małgorzaty, by dotknąć ustami jej włosów, stała się dla mnie męczarnią. Nie znałem tego człowieka, czułem jednak, że zakochał się w mojej żonie. Wtem śmiech małej Dédé pobudził mnie do gniewu.

— Czego ty się śmiejesz, głupia — ofuknęła ją matka. — Ej, każę ci stać w kącie! Dalej!... mów, czemu się śmiałaś?!

Dzieciak zaczął kręcić: ona się nie śmiała, kaszlnęła tylko. Mnie jednak przemknęło przez głowę, że musiała pewno zobaczyć, jak Simoneau nachylał się ku włosom Małgorzaty, i to ją rozśmieszyło.

Zapalono lampę. Wtem rozległo się pukanie.

— Ach! otóż i pan konsyliarz — ozwała się stara kobieta.

Był to lekarz w rzeczy samej. Nie tłómaczył się wcale z tak spóźnionego przybycia. Musiał zapewne zrobić niemało piętrow w ciągu dnia. Lampa widocznie bardzo słabo oświetlała pokój, bo zapytał:

— Czy ciało jest tu?

— Tak, panie — odrzekł Simoneau.

Małgorzata podniosła się. Pani Gabin kazała wyjść Dédé, gdyż dziecko nie potrzebuje być obecnym przy takich rzeczach, następnie zaś usiłowała odprowadzić moją żonę pod okno, aby jej oszczędzić przykrej sceny.

— Czy może poświęcić panu lampę? — zapytał Simoneau uprzejmie lekarza.

— Nie, to zbyteczne — odrzekł tamten.

Co?!... Zbyteczne?!... Ten człowiek miał życie moje w swych rękach i uważał za rzecz zbyteczną przedsięwziąć dokładne badanie?!... Ależ ja nie byłem umarłym! — chciałem w niebogłoso krzyczeć, że umarłym nie jestem!

— O której godzinie zmarł? — zapytał.

— O szóstej rano — odparł Simoneau.

Wściekły bunt podniósł się we mnie w spętaniu strasliwych więzów, co pozbawiły mnie władz wszystkich. Ach! nie móżd się odezwać!... nie być w stanie uczynić jednego ruchu w podobnym położeniu!...

Lekarz dodał:

— To ciężkie powietrze, jakie mamy obecnie, nie wiele jest warte... Nic bardziej nużącego niżeli pierwsze dni wiosny...

I poszedł!... z nim razem moje życie... Łzy, wołania, przekleństwa dusiły mnie, rozdzierały me gardło w konwulsjach, z którego ani jedno westchnienie nie było w stanie się wydobyć... Och! nędznik!... którego zawodowa rutyna przemieniła w maszynę, zbliżając się do posłania zmarłych z myślą o jaknajszybszem dopełnieniu jedynie urzędowej formułki!... Człowiek ten zatem nic nie umiał!... Cała jego wiedza kłamstwem była! skoro nie potrafił jednym rzutem oka rozróżnić życia od śmierci. I poszedł!... poszedł!...

— Dobranoc, panie doktorze — żegnał go Simoneau.

Zapanowało milczenie. Lekarz skłonił się Małgorzacie, która wróciła od okna, a pani Gabin zamykała je tymczasem. Wreszcie wyszedł z pokoju, a z schodów doleciały mnie jeszcze jego kroki.

Skończyło się więc!... wyrok nademną zapadł. Ostatnia moja nadzieja znikła wraz z tym człowiekiem. Jeżeli się nie obudzę jutro do godziny jedenastej — zakopią mnie żywcem. Była to myśl tak straszna, że pozbawiła mnie na chwilę zupełnie świadomości tego, co się naokół działo. Było to jakby ostateczne onieprzytomnienie samej już śmierci. Ostatnim, jaki jeszcze doszedł mych uszu, dźwiękiem, był zgrzyt nożyczek pani Gabin i małej Dédé. Zaczęła się noc żałobna. Nikt się nie odzywał. Małgorzata nie chciała iść spać do pokoju pani Gabin. Zdało mi się, że ją widzę, jak siedzi w napół leżącej postawie w głębi fotelu, a łyżę perlą się na rzęsach w półprzymkniętych oczu pośród jej bladej twarzyczki, w którą Simoneau, siedząc w cieniu naprzeciw niej, wpatruje się milcząco.

III

Nie potrafię opisać, jakie męki konania przeszedłem następnego ranka. Pozostało to wszystko dla mej pamięci jakby zmorą okropnego snu, w którym odbierane przezemnie wrażenia tak były zamglone i osobliwe, że ich dokładne odmalowanie przyszłoby mi z trudnością. Co męki moje czyniło okrutnymi nad wyraz, to nieustająca nadzieja nagłego przebudzenia. W miarę zaś, jak się zbliżała godzina pogrzebu, strach mój poczynął mnie dławić poprostu!...

Dopiero z rana odzyskałem świadomość otaczających mnie osób i rzeczy. Trzask otwieranego okna zbudził mnie ze snu. To pani Gabin chciała do pokoju wpuścić trochę świeżego powietrza. Musiało być około siódmej, bo słychać było wołania przekupniów na ulicy, jakie poprzednich dni dolatywały mnie zawsze o tej porze. W pierwszej chwili zgiełkliwie budzenie się Paryża uspokoiło mnie. Wydało mi się niepodobieństwem, aby mnie miano zagrzebać w ziemi pośród takiego wrzasku życia. Pewne przypomnienie uspokoiło me obawy do reszty. Spotkałem się już był raz z podobnym memu przypadkiem, będąc urzędnikiem w szpitalu w Guérande. Jakiś mężczyzna leżał całe dwadzieścia cztery godzin pogrążony w śnie tak głębokim, że lekarze nie mieli odwagi stanowczo orzec, czy to letarg, czy śmierć. Wtem śpiący podniósł się, usiadł na pościeli i bez żadnego wysiłku był w stanie wstać. Co do mnie — sen mój trwał już godzin dwadzieścia pięć. Jeżeli się przebudzę około dziesiątej, nie będzie za późno jeszcze.

Próbowałem zdać sobie sprawę z tego, kto jest w pokoju i co się w nim dzieje. Mała Dédé musiała się znajdować na korytarzu, bo za otwarciem drzwi jej śmiech dziecięcy doleciał z zewnątrz. Pana Simoneau według wszelkiego prawdopodobieństwa nie było jeszcze, żaden odgłos bowiem nie zdradzał przedemną jego obecności. Tylko człapaki pani Gabin suwały się w różne strony po podłodze. Nakoniec dał się słyszeć głos ludzki:

— Moja kochana pani — odezwała się stara — źle pani robi, że pani nie pije, póki gorąca, bo toby panią bardzo pokrzepiło.

Słowa te zwrócone były oczywiście do Małgorzaty, a cichy, perlisty plusk kropel na kominku objaśnił mnie, że staruszka gotuje kawę.

— Nie mówię wcale, aby gadać — ciągnęła dalej — ale i ja się potrzebowałam pokrzepić... W moim wieku bez tego ani rusz, a cóż dopiero, kiedy trzeba noc całą przesiedzieć... Kiedy w domu jest nieszczęście, to tak czegoś w nocy smutno... No napijże się pani kawy, moja kochasiu, tylko kropelkę...

I przymusiła Małgorzatę do wypicia filiżanki.

— A co?... Jakie rozgrzewające!... Prawda?... To panią na nogi postawi. Pani potrzeba sił, żeby dociągnąć do wieczora... A teraz jeżeli paniusia jest naprawdę grzeczna, to pójdzie do mego pokoju i tam będzie czekać...

— Nie; pozostanę tu — odparła Małgorzata rezolutnie.

Głos jej, którego dźwięku nie słyszałem od wczoraj, poruszył mnie żywo. Był jakiś zmieniony, złamany przez ból. Ach! kobieciątko moje kochane!... Poczucie, że jest przy mnie, było mi pociechą najwyższą. Wiedziałem, że nie odwraca odemnie oczu, że oplakuje mnie wszystkimi łzami swego serca.

Minuty jednak biegly. Za drzwiami rozległ się łoskot, którego nie umiałem sobie w pierwszej chwili wytłumaczyć. Rzekłbyś: przenoszenie jakiegoś dużego sprzętu, obja-

jącego się po drodze o ściany schodów zbyt ciasnych. Wnet jednak zrozumiałem, posławszy nowy wybuch płaczu Małgorzaty. Była to trumna.

— Za wcześniej przyszłście — odezwała się pani Gabin tonem gderliwym. — Postawcie to tam, za łóżkiem.

Któraż więc była godzina?... Dziewiąta zapewne... A trumna była już na miejscu... I oto widziałem ją myślą wśród czarnego mroku: nowiutką, z ledwo ociosanych desek... Mój Boże!... Więc koniec ten był nieunikniony?... wyniosą mnie w owej skrzyni, którą tam czuję u mych stóp?...

Wtem spłynęła na mnie ostatnia już, jakiej spodziewać się mogłem, radość. Małgorzata, mimo swego osłabienia, postanowiła mi sama oddać ostatnie posługi... Sama, z pomocą starej, poczęła mnie ubierać, okazując mi przytem czułą troskliwość małżonki i siostry. Ilekroć oblekała mnie w jakąś część ubioru, czułem, że jestem raz jeszcze w jej ramionach. Przerwała wreszcie tę robotę, nie mogąc zapanować nad wzruszeniem, i podchwyciwszy mnie w objęcia, oblała mnie łzami, ściskając. Czegożbym nie dał, by móżdżek odwzajemnić jej uścisk i krzyknąć: — „Ja żyję!...” — pozostałem jednak bezwładny, powolny wszystkiemu, co ze mną robić chciano, jak kłoda bez życia.

— Źle pani robi... to wszystko na stracenie... — zwracała jej uwagę pani Gabin.

— Pozwól pani... Chcę go ustroić w to, co mamy najpiękniejszego...

Domyśliłem się, że mnie pewno ubiera jak niegdyś do naszego ślubu. Posiadałem jeszcze te suknie, miały mi one w Paryżu służyć tylko na wielkie święta. W końcu jednak padła na fotel wyczerpana wysiłkiem.

W tej chwili dał się słyszeć głos pana Simoneau. Musiał wejść co tylko.

— Są na dole — szepnął do naszej sąsiadki.

— Dobrze, w samą porę — odparła pani Gabin zniżonym również głosem. — Zawołaj ich pan, czas skończyć.

— Boję się wybuchu żalu tej biedaczki... — znów szepnął.

Stara jakby się namyślała przez chwilę, aż rzekła:

— Słuchajno pan, panie Simoneau, musi ją pan, choćby przemocą, do mego pokoju zaprowadzić... Ona tutaj nie może pozostać... Oddamy jej tem tylko przysługę... Tymczasem ludzie się tu załatwią raz, dwa...

Słowa te ugodziły mnie w samo serce. A cóż się dopiero musiało we mnie dzieć, kiedy mnie doleciały odgłosy walki, jaka nastąpiła teraz... Simoneau podszedł ku Małgorzacie, błagając ją, aby opuściła pokój.

— Przez litość — nalegał — pójdz pani ze mną, oszczędź sobie bezpożytecznego bólu!...

— Nie, nie — powtarzała moja żona zarazem — zostanę, zostanę tu do ostatka. Pomyśl pan, że jego tylko jednego mam na świecie, a gdy jego nie będzie, zostanę samiućka...

Ale pani Gabin, stojąca tuż przy łóżku, szepnęła młodemu człowiekowi w ucho:

— Nie stójże pan w miejscu... Weź ją pan silnie za ręce i wyprowadź...

Czy Simoneau posłuchał tej rady, nie wiem, ale w tej samej chwili Małgorzata krzyknęła. W szalonym wysiłku chciałem się zerwać i bronić jej. Niestety, ciało moje było bezwładne; pozostałem na łóżku niezdolny nawet uchylić powieki, aby zobaczyć, co się przedemną dzieje? Walka się przedłużała, żona moja chwytając się mebli, wołając:

— Litości!... litości, panie!... Proszę mnie puścić... ja nie chcę!...

Musiał ją jednak w końcu ująć w swe potężne ramiona i wynieść, ponieważ wydawała z siebie już tylko dziecięce jęki, które cichły w oddali; mnie się zaś wydawało, że widzę przed sobą oboje: jego, rosłego, mocnego, uprowadzającego u swych piersi, na swojej szyi, zapłakaną, złamaną, poddającą się, gotową z nim iść odtąd wszędzie, gdzieby ją tylko zechciał zaprowadzić.

— Hm!... nie poszło to tak łatwo... — mruknęła pani Gabin. — No, a teraz: hops! kiedy nam nikt nie przeszkadza.

W szale zazdrości, jaki mną owładnął, to, co się przed sekundą stało, wydało mi się porwaniem ohydny. Straciłem Małgorzatę z oczu od wczoraj, lecz jeszcze ją słyszałem przynajmniej. Teraz już było po wszystkim; zabrano mi ją, zupełnie; inny ją uprowadził,

zanim ja jeszcze znalazłem się w ziemi. I był z nią sam na sam tuż obok za ścianą, pocieszał ją, tulił może do siebie!...

Wtem drzwi się znowu otwały, do pokoju wkroczyły ciężkie stopy.

— Prędko, prędko — ozwała się pani Gabin. — Bo nam tu ta biedaczka lada chwila gotowa wrócić.

Mówiła tak do jakichś obcych ludzi, którzy odpowiadali jej mrukiem.

— Ja, uważacie, nie jestem żadna krewna, tylko sąsiadka... Tylko niechże wam się znów nie zdaje, że tutaj co zarobię... Ot, z dobrego serca zajęłam się jej interesami... Nie wesoła to historia... Dostyc powiedzieć, że całą noc ani nie zmróżyłam oka... A koło czwartej zrobiło się naraz tak zimno... At, głupia byłam całe moje życie... za dobra!

W tej chwili wyciągnięto trumnę na środek pokoju, więc zrozumiałem, co mnie teraz czeka. Byłem skazany! — ponieważ ocknienie, któregoś tak gorąco pragnął, nie przyszło. Myśli moje straciły naraz swoją przejrzystość, wszystko zakłębiło się we mnie w czarnym tumanie strachu, a tak bezbrzeżna ogarnęła mnie przytem niemoc, że było prawdziwą ulgą poddać się fatalizmowi wypadków, przestając liczyć na cokolwiek.

— Nie żalowali drzewa — rozległ się ochryply głos jednego z karawaniarzy. — Koryto jak na wyrost...

— Będzie mu wygodniej — wesoło odparł drugi.

Nie byłem zbyt ciężki, cieszyli się z tego; mając na dół trzy piętra. Kiedy mnie wzięli za nogi i za ramiona, naraz dał się słyszeć gniewny głos pani Gabin.

— Przeklęty bęben! Wszędzie musi nos wetknąć!... Czekaj! dam ja ci zaglądać przez szparę...

To Dédé, uchylwszy drzwi, wściubiła pewnie do pokoju swą rozczochraną główkę. Chciała zobaczyć, jak pana będą pakować w pudło. Klasnęły dwa rześiste policzki, po nich bek. Następnie matka wróciła i dalejże w gawędę o córce z posługaczami, którzy układali mnie tymczasem w trumnie.

— Ma dopiero dziesięć lat i niezłe z niej dziewczysko, tylko ciekawa!... Ja ją bardzo rzadko biję, ale trudno... dziecko musi słuchać...

— Moja pani — odpowiedział jeden z ludzi — wszystkie dzieci są takie. Niech tylko gdzieś ktoś kiwnie, już się to zaraz kręci koło nieboszczyka jak muchy...

Ułożono mnie wygodnie i mogłoby mi się zdawać, że jestem wciąż jeszcze w łóżku, gdyby nie niewyraźne uczucie przykrości w lewej ręce, zanadto przyciśniętej do desek. Jak zresztą powiedzieli, bardzo mi tam było dobrze, dzięki mej drobnej budowie.

— Czekajcie no jeszcze — zawołała pani Gabin. — Przyrzekłam żonie, że mu włożę poduszkę pod głowę.

Lecz posługacze nie mieli czasu, któryś z nich wtoczył mi poduszkę pod głowę brutalnie. Drugi szukał młotka na wszystkie strony, klnąc. Pokazało się, że go zapomnieli na dole, trzeba było poń zejść. Wreszcie nakryli trumnę wiekiem i dwa uderzenia młotka wbiły pierwszy gwoździe, przejmując mnie od stóp do głowy dreszczem. Stało się, przestałem należeć do żywych. Teraz gwoździe poczęły się w drzewo wpajać jeden po drugim, wśród stuku młotka, spadającego na nie rytmicznie za każdym razem. Rzekłbyś: służba sklepowa pakuje w magazynie suszone owoce z niefrasobliwą zwinnością. Odtąd też wszystkie odgłosy poczęły mnie dolatywać rozlane i zgłuszone, brzęcząc w dziwny sposób, jakby sosnowa trumna zmieniła się w pudło olbrzymiej harmoniki. Ostatnią przestrogą, jaka mnie doleciała przy ulicy Dauphiné z ust pani Gabin, były słowa:

— A schodźcie powoli i nie wspierajcie się o poręcz na drugim piętrze, bo zepsuta.

Niesiono mnie. Miałem wrażenie, że płynę po rozkołysanym morzu. Od chwili tej zresztą wspomnienia moje stają się coraz niewyraźniejsze... To tylko sobie przypominam, że jedyną rzeczą, jaka mnie całą drogę zaprzętała w niedorzeczny i machinalny jakiś sposób, było usiłowanie zdania sobie sprawy, któredyś zdążamy na cmentarz. Nie znalazłem w Paryżu ani jednej ulicy, położenie wielkich cmentarzy, których nazwy objęły mi się niekiedy o uszy, nie było mi również wiadomem, nie przeszkadzało mi to jednak wysilać ostatnie błyski inteligencji w tym jedynie celu, aby przeniknąć, czy w danej chwili skręcamy w lewo, czy w prawo. Karawan trząśł mną po bruku. Turkot wozów, wrzawa przechodniów dokoła mnie składały się na jeden wielki, nierozzerwalny huk, który rezonans trumny potęgował jeszcze.

Z początku zdawałem sobie sprawę z kierunku drogi dość dokładnie. Naraz zatrzymaliśmy się, wzięto mnie na ramiona, domyśliłem się, że stoimy przed kościołem. Kiedy jednak karawan na nowo wyruszył, straciłem odtąd wszelkie poczucie przebywanych miejsc. Głos dzwonów objaśnił mnie, że mijamy kościół; powolniejsza i równiejsza jazda naprowadziła mnie znów na myśl, że jedziemy drogą spacerową. Byłem niby skazaniec, wieziony na miejsce stracenia, wyczerpany już do ostatka lękiem, oczekujący już tylko, prawie z upragnieniem, ostatecznego ciosu, który nie spadał.

Zatrzymaliśmy się znów. Wyciągnięto mnie z karawanu, wszelki hałas nagle ustał, uczułem, że muszę się znajdować w miejscu pustym pod drzewami, z olbrzymim nieboskłonem nad głową. Zapewne kilka osób towarzyszy orszakowi, ktoś z lokatorów hotelu, Simoneau i inni, albowiem szepty ludzkie dochodziły aż do mnie. Zabrzmiał psalm, ksiądz począł recytować łacińskie wyrazy. Dreptano jeszcze dokoła ze dwie minuty. Naraz uczułem, że się zaczynam zapadać, i w tejże chwili trumna, o której kanty naprężone powrozy tarły się naksztalt smyków, wydała z siebie huczący ton rozbitej basetli. Skończyło się. Huk straszliwy, podobny do armatniego strzału, rozległ się cokolwiek na lewo od mej głowy, po chwili drugi, taki sam u mych nóg, inny, jeszcze gwałtowniejszy ugodził w okolicy mego brzucha, a tak rozgłośnie, żem myślał: trumna pękła na dwoje pod bryłami walącej się ziemi. W tej chwili straciłem przytomność.

IV

Jak długo zostawałem w tym stanie — nie umiałbym odpowiedzieć. Sekunda i wieki jednakiego są trwania w nicości. Przestałem istnieć. Stopniowo i nieznacznie poczęła mi wracać świadomość bytu. Spałem ciągle, zacząłem jednak śnić. Z czarnego tła, zamykającego mój widok, wyłoniła się mara. Snem zaś jaki miałem, był ów dziwny obraz, co dręczył mnie już wiele razy niegdyś, w czasach, kiedym z otwartymi oczyma, pod wpływem wrodzonego usposobienia do straszliwych inwencji, lubował się w okrutnej rozkoszy wymyślania Bóg wie jakich spadających na mnie katastrof.

Wydawało mi się, że żona oczekuje mnie gdzieś prawdopodobnie w Guérande, i że wsiałem do pociągu kolei żelaznej, aby się do niej udać. W chwili gdy pociąg przebywał tunel, straszliwy łomot rozległ się naraz z hukiem piorunu: skały załamały się w tunelu w dwóch miejscach. Na pociąg nie spadł ani jeden kamyczek, wagony pozostały nietknięte, tylko na obu końcach tunelu, przed nami i za nami, zapadły się sklepienia skalne, a my znaleźliśmy się w ten sposób zamurowani w wnętrzu góry usypem z głazów. Wówczas poczęło się konanie długie i straszne. Żadnej nadziei ratunku; całego miesiąca czasu by trzeba na oczyszczenie tunelu, a i ta praca wymagałaby tysiącznych ostrożności i machin niebywale potężnych. Byliśmy więźniami, w pewnego rodzaju piwnicy bez wyjścia. Śmierć wszystkich stała się kwestią kilku godzin.

Nieraz już, powtarzam, imaginacja moja przetrawiała tę wizję straszliwą. Przebieg dramatu ulegał przytem nieskończonym wariantom. Aktorami jego mężczyźni, kobiety, dzieci, setka z górą osób, cały tłum, który dostarczał mi ciągle coraz to nowych epizodów. W pociągu było oczywiście trochę żywności, wyczerpała się ona jednak niedługo i czereda zgłodniałych nieszczęśliwców, nie posuwających się jeszcze do pożerania się wzajemnie, staczała między sobą wściekle walki o ostatnią kruszynę chleba. Tu konał starzec, odepchnięty potężnym uderzeniem pięści silniejszego zapaśnika, tam matka biła się jak wilczyca o trzy lub cztery kęski, schowane dla swego dziecięcia. W moim wagonie młode małżeństwo charczało w wzajemnym uścisku, bezwładni, bez iskiej nadziei w sercu. Droga była zresztą w obie strony na dużej przestrzeni wolną i ludzie, wysiadając, błakali się wzdłuż toru, jak szukające żeru zwierzęta, gdy je puścić z uwięzi. Wszystkie stany zmieszały się z sobą pod obuchem nieszczęścia. Jakiś bogacz, wysoki — mówiono — dygnitarz, płakał na szyi robotnika, tykając go. Zaraz w pierwszych godzinach lampy się wypaliły, ogień pod lokomotywą zgasł. Przechodząc od wagonu do wagonu, ludzie macali koła jak ślepcy, aby się o co nie uderzyć, i zaszedłszy w ten sposób aż do lokomotywy, poznawali po zimnem palenisku, po olbrzymich bokach uśpionych tę mocarce, bezużyteczną teraz, niemą i nieruchomą w mroku. Nic bardziej przerażającego, niżeli ten pociąg zagwoźdzony pod ziemią w całości, żywcem pogrzebany wraz z całą gromadą podróżnych, umierających jedni za drugimi.

Dziwnie się lubowałem zawsze w straszliwej grozie tego obrazu, nurzając się w najdrobniejszych jego szczegółach. Wycia rozpaczy przeszywały tam co chwila ciemność. Ni stąd, ni zowąd, któryś z towarzyszy, o którym nie wiedziałeś, że się tuż obok znajduje, zwał ci się na plecy całym ciężarem ciała, mdlejącego na wieki. Tym razem wszakże największe katusze zadawało mi zimno i brak powietrza. Nigdy w życiu nie zaznałem tak wielkiego zimna; formalnie płaszcz z śniegu przytłaczał mi ramiona, lodowata wilgoć spływała na moją czaszkę. Zaczynałem się dusić; zdawało mi się, że skaliste sklepienie przytłacza mi już pierś, że cała góra ciąży na mnie i rozgniata me ciało. Wtem zabrzmiał okrzyk ocalenia. Od dłuższego czasu już zdawało się nam, że słyszymy w oddali głuchy huk, to też dawaliśmy się unosić nadziei, że ludzie pracują niedaleko nad przekopem. Rzutem mimo tego nie nadchodził. Aliści jeden z nas odkrył w sklepieniu tunelu studnię; pobiegliśmy tam zaraz wszyscy przypatrzeć się wentylowi, na którego szczycie widać było jasno niebieską plamkę, nie większą od dłoni. Ach! co za radość, co za szczęście na widok tej plamy błękitnej!... To było niebo!... Wspinaliśmy się na palce, by w siebie wetchnąć dopływające stamtąd powietrze, rozróżnialiśmy wyraźnie czarne punkciki, poruszające się na jej tle, zapewne sylwety robotników, zajętych urządzeniem windy, która nas miała ocalić. Szalony krzyk: — „Uratowani!” — wydarł się z piersi wszystkich, podczas kiedy ręce wyciągały się drżące ku tej małej, zbawczej plamce bladego lazuru.

Siła tego okrzyku musiała mnie zbudzić. Gdzie byłem?... Jeszcze w tunelu zapewne... Leżałem w całej mojej długości wyciągnięty, czując z prawej i lewej strony coś twardego, co uciskało mi boki. Chciałem powstać, uderzyłem się jednak mocno w głowę. Więc głazy przywalały mnie zewsząd?... A owa plamka niebieska zniknęła... nie było nademną nieba nawet w oddali... Dusilem się nieprzerwanie, dzwoniłem zębami z zimnego dreszczu...

Naraz — przypomniałem sobie. I groza podniosła mi włosy, odczułem przeokropną rzeczywistość, krążącą w żyłach moich od głowy do samych stóp strumieniem lodu. Opuścił mnie nakoniec zemdlenie letargu, który przez godzin tyle trzymał mnie w skrzeplej sztywności trupa? Tak jest!... mogłem się ruszać, przesuwalem ręce po deskach trumny. Pozostało mi przedsięwziąć próbę ostatnią: otwarłem usta i wydałem z siebie głos, przyzywając instynktownie Małgorzatę. Krzyk mój jednak przybrał w tem sosnowem pudle dźwięk zduszony i tępy, a taki straszny, że mnie samego przejął zgrozą. Boże mój!... Więc to prawda?... Żebym się nie wiedzieć jak rzucił i krzyczał, że żyję, głos mój nie dojdzie ludzkich uszu, pozostanę uwiecznionym, przysypanym ziemią.

Tylko z największym wysiłkiem zdołałem uspokoić sam siebie i zmusić do zastanowienia. Czyż nie ma naprawdę żadnego sposobu wyjścia?... Sen mój począł wracać, mózg mój nie dość był jeszcze mocny, począłem mięszać wymagowaną wizję powietrznej studni i plamki nieba u jej wylotu, z rzeczywistością grobu, w którym się dusilem. Szeroko rozwartymi oczyma wpatrywałem się w ciemność. A mozem spostrześć gdzie istotnie otworek, ryse, kropelkę światłości?... Nic jednak oprócz ognistych iskierki nie było widać w grobowej czerni; różowe błyski, mignawszy rozlewały się i nikły. Nic!... czarna otchłań bez dna... Po chwili przecież odzyskałem napowrót świadomość i odpędziłem niedorzeczne majaki. Uczułem, że powinienem wyteńczyć wszystkie władze mego umysłu, jeżeli pragnę pokusić się o ocalenie.

Z początku największym niebezpieczeństwem wydało mi się uduszenie z braku powietrza, który się wzmagał z każdą chwilą. Tak długo obywać się bez powietrza mogłem bez wątpienia tylko za sprawą letargu, który w organizmie moim zawiesił wszelkie potrzeby i funkcyje żywotne. Obecnie jednak, kiedy serce moje biło, gdy płuca me oddychały napowrót, śmierć z uduszenia, jeżeli się stąd nie wydostanę jak najprędzej, groziła mi niechybnie. Dokuczalo mi również zimno, a przytem bałem się popaść w ów sen śmiertelny ludzi zaskoczonych przez mróz, co się zeń więcej nie budzą.

Nie przestając sobie powtarzać, że mi potrzeba spokoju nadewszystko, odczuwałem już jednak chwilami nagłe spazmy obłądu, poczynające nacierać na mój mózg. Staralem się więc krzepić w sobie ducha rozpamiętywaniem wszystkiego, co mi było wiadomem o sposobach grzebania umarłych. Pochowano mnie zapewne w grobie zakupionym na lat pięć. Odbierało mi to pewną nadzieję, zauważyłem bowiem niegdyś jeszcze w Nantes, że cienkie odstępki pomiędzy wspólnymi grobami ubogich pozwalały niekiedy dojrzeć kant trumny na ostatku pochowanych. Wystarczyłoby mi w podobnym wypadku wyłamać jedną z desek, aby się z niej wydostać. Tymczasem jeśli się znajdowałem w grobie całko-

wicie zasypanym, to miałem nad sobą cały gruby zwal ziemi, stanowiący nielada zaporę. Słyszałem, że w Paryżu grzebią nieboszczyków w grobach głębokich na sześć stóp. Jakże się tu przebić przez tak potężną masę?... Gdybym nawet zdołał rozwalić wieko, czyż ziemia nie dostanie się natychmiast do wnętrza trumny, czy nie zasypie jej piasek, wtłaczając mi się w oczy, nos, usta?... Wszak i to będzie śmierć, choć w innej formie, śmierć okropna! utonięcie w miazdze dławiącej...

Mimo te wszystkie myśli, macałem starannie dokoła siebie. Trumna była duża, poruszałem rękoma z łatwością. Nie natrafiłem jednak w wieku na żadne pęknięcie. Z prawej i z lewej deski były wprawdzie niedbale pozbijane, ale mocne i twarde. Przepelźnąłem dłonią wzdłuż piersi, aby ją przenieść powyżej głowy. Tu, w poprzecznej deszczulce natrafiłem na sęk, który poddał się mym palcom, lekko naciśnięty. Wziąwszy się do niego zaraz z całym wysiłkiem, zdołałem go na zewnątrz wypchnąć, zagłębiwszy zaś palec w pozostałą po nim dziurę, natrafiłem z tamtej strony na ziemię gliniastą i mokrą. To jednak nie posunęło ani na włos naprzód mojej sprawy. Zacząłem nawet żałować wypchnięcia sęka, jakby się ziemia mogła tą drogą do trumny dostać. Innego rodzaju doświadczenie zaprzętnęło mnie na chwilę: począłem opukiwać naokoło ściany trumny, aby wy badać, czy nie ma gdzieś po za niemi, z prawej, albo z lewej, próżni. Odgłos był wszędzie ten sam. Kiedym jednak z lekka zapukał bucikiem w dolny koniec trumny, wydało mi się, że z jednej strony stukanie dźwięczniej brzmi. Lecz powód zjawiska mógł tkwić w samym drzewie.

Wówczas zacząłem rozpierać się wśród desek, wyciągnąwszy przed siebie ręce. Drzewo stawiało opór. Spróbowałem tego samego za pomocą kolan, oparłszy się o dno trumny kością krzyżową i piętami. Lecz nie dał się słyszeć najmniejszy nawet trzask. Wtedy począłem się przeżyć w moim drewnianem więzieniu całym ciałem z taką gwałtownością, że moje umęczone kości poczęły wrzeszczeć: dosyć!... W owej to chwili ogarnął mnie szal.

Dotychczas opierałem się jako tako obłąkaniu, podmuchom furji, zrywającym się we mnie od czasu do czasu, niby pijackie deliryum. Nadewszystko powstrzymywałem w sobie wrywający mi się z piersi krzyk, czując, że jeśli raz tylko krzyknę, będę zgubiony. Naraz jak nie zacznę wrzeszczeć, ryczeć, wyć! Wstrzymywać się dłużej od tego przechodziło me siły i ryki poczęły wylatywać jedne za drugimi z mego wzdętego gardła. Począłem wrzeszczeć o pomoc głosem, jakiego u siebie przez całe życie nie słyszałem, szalejąc coraz bardziej za każdym nowym wrzaskiem, powtarzając raz po raz w niebogłosy, że nie chcę umierać! Drapałem przytem drzewo paznokciami ze wszystkich sił, wijąc się w konwulsjach wilka złowionego w żelaza. Jak długo mogła trwać ta kryzys?... Nie wiem, czuję jednak jeszcze bezlitosną twardość ścian trumny, po której wewnątrz rozpacz mną tłukła, słyszę tę burzę ryków i lkań, jakimi napelniałem ciasną przestrzeń ujętą w cztery deski. W ostatnim błysku rozsądku chciałem zapanować nad sobą — nie byłem jednak już w stanie.

Z kolei przyszło niezmierne przygnębienie. Ogarnięty bolesną sennością, czekałem już tylko śmierci. Trumna ta była z glazów, nigdy nie zdołałem jej rozsadzić!... Niewzruszona ta pewność czekającej mnie zguby obezsilniła mnie do reszty i pozbawiła zdolności do jakichkolwiek dalszych wysiłków. Nowa męczarnia, głód, przyłączyła się teraz do zimna i braku powietrza. Zaczynało mi się słabo robić z czczości. Wydłubywałem więc palcem przez otwór po wypchniętym sęku gródki ziemi i zjadałem je, co podwoiło moje katusze. Gryzłem się już nawet w ręce, nie śmiejąc ich jeszcze kąsać do krwi, choć ciało własne także poczęło we mnie budzić łakomstwo, że ssalem je przez skórę w rosnącej żądzy wbicia w nie zębów z całej siły.

Och! jakżem pożądał śmierci w owej godzinie!... Przez całe me życie myśl o nicości przejmowała mnie zawsze dreszczem, a teraz pragnąłem i przyzywałem jej całą mocą duszy, zdawało mi się, że nie może być dość czarną jej otchłań, tak teraz dla mnie upragniona... Co za dzieciństwo lękać się tego snu bez marzeń, tej wiekuistej ciszy i mroku!... Toż śmierć jest dobrodziejstwem, gasząc życie istot jednym zamachem i raz na zawsze. Och!... spać snem kamiennym, napowrót się w proch obrócić!... nie być!...

Ręce moje, macając, suwały się w dalszym ciągu machinalnie po powierzchni drzewa. Naraz uklęknęłem się w lewy kciuk, a ból, wywołany tem, acz lekki, ocucił mnie z mego strętwienia. Co to mogło być?... Poszukawszy, rozpoznałem gwóźdź, który wbity z ukosa, nie chwycił się drugiej deski. Był długi i spiczasty. Główką tkwił w wieku, ale się

ruszał. Od tej chwili opanowała mnie całego jedna myśl: zdobyć ten gwóźdź! Wsunąwszy na brzech prawą rękę, starałem się go ochwiać. Nie ustępował jednak. Ciężka to była praca. Wykonywałem ją to jedną to drugą ręką, ponieważ lewa, w trudniejszym położeniu, męczyła się prędko. W czasie tych usiłowań w głowie mojej rozwinął się cały plan. Gwóźdź ten będzie mym zbawcą. Muszę go zdobyć, żeby tam nie wiem co!... Czy starczy mi jednak na to czasu?... Nękania głodem, musiałem wkrótce przerwać robotę, mdlejąc z osłabienia, które pozbawiało władzy me ręce i głowę napęliło zamętem. Kiedym po pewnej chwili zlizął krew, która sączyła mi się z ukłutego palca, naraz przestałem nad sobą panować i ukąsiwszy się w rękę z całej siły, począłem pić krew własną podniecany bólem i orzeźwiony tym płynem słonym, ciepłym, co zwilżał me wargi. Zabrawszy się teraz oburącz z dziką jakąś zawziętością do gwoździa, zdołałem go wreszcie wyrwać.

Od tej chwili wróciła mi wiara w me ocalenie. Plan mój był prosty. Zagłębiłem gwóźdź w wieko i ryłem nim najdłuższą, jaka się tylko dała, linię prostą, rodzaj płytkiego na razie cięcia. Ręce me się kurczyły z całej siły, natężyłem się wściekle. Skoro mi się wydało, że drzewo jest już dość głęboko wyżłobione, przyszedł mi koncept odwrócić się i na brzuchu, podparwszy się na kolanach i łokciach, plecami i krzyżem zaatakować naciętą deskę. Niestety! — wieko trzeszczało, ale nie pękło. Nacięcie nie było jeszcze dość głębokie. Musiałem ułożyć się napowrót wznak i kontynuować poprzednią robotę, co kosztowało mnie trudu niemało. Nakoniec ponowiłem drugą manipulację i oto — wieko pękło tym razem przez całą swoją długość.

Zaprawdę nie znaczyło to wcale, abym już był uratowany, nadzieja jednak zalała mi serce błogością. Przestawszy naciskać deski, leżałem czas jakiś bez ruchu, z obawy narażenia się na to, że ziemia zwali się na mnie i udusi mnie. Mój projekt obecny zasadzał się na tem, aby posługując się trumną niby rodzajem ochronnej budki, wiercić w glinie otwór. Niestety praca ta, przedstawiała znaczne trudności; obrywające się bryły gliny zawadzały deskom, któremi nie mogłem ruszyć. Nie!... nigdy nie wydostanę się na powierzchnię... Już zwaly gromadzącej się ziemi poczęły przygniatać mi krzyż i osypały twarz. Znowu mnie strach począł ogarniać, gdy wtem, wyciągając się jak długi, aby dla stóp znaleźć punkt oparcia, uczułem, jak mi się zdało, że deska, zamykająca w nogach trumnę, ustąpiła pod naciskiem. Uderzyłem w nią w teje chwili piętami z całej mocy, sądząc, że po za nią znajdować się może świeżo wykopany grób...

I nagle nogi moje znalazły się w próżni!... Przypuszczenie me okazało się trafnem. W nogach moich znajdował się istotnie świeżo wybrany dół. Potrzebowałem przebić tylko cienką warstwę ziemi, rozdzielającej mnie od niego, aby się zsunąć do sąsiedniego grobu. Boże Wielki!... Byłem uratowany!...

Przez chwilę leżałem na wznak z oczyma utkwionemi w głębi otworu. Była noc. Na niebie gwiazdy iskrzyły się wśród aksamitnego tła ciemnego błękitu. Chwilami zrywał się lekki wiatr i przynosił mi ciepłe powiewy wiosny, przejęte wonią drzew. Wszchemocny Boże!... więc jestem ocalony!... oddycham!... żyję!... Uderzyło we mnie gorąco. Z wybuchem płaczu, z wyciągniętymi w przestrzeń rękoma bełkotałem nabożnie: — O! jakaż to rozkosz: żyć!...

V

Pierwszą mą myślą było obecnie udać się do dozorczy cmentarza, aby mnie kazał do domu odwieźć. Wstrzymało mnie jednak od tego kroku świtanie niewyraźnych jeszcze na razie myśli... Poprzezstraszają się wszyscy moim widokiem... Na co się spieszyć, skoro i tak jestem obecnie panem sytuacji... Począłem sobie obmacywać ciało; miałem tylko nieznaczny ślad zębów od ukąszenia w lewą rękę, wynikała stąd lekka gorączka wyposażała mnie jednak w niebywałą energię. Tak jest, potrafię pójść do domu bez niczyjej pomocy...

Nie chciałem tracić czasu. Przez mózg mi przelatywały tysiące myśli. Napotkawszy w pustym grobie obok mojego narzędzia grabarzy, zorientowałem się, że należy usunąć zrządzony przezemnie nieład i załatać dziurę przez którą wyszedłem, aby mego zmarłychwstania nie spostrzeżono. Na razie myśli te nie miały jeszcze określonych kształtów, wydawało mi się jednak, że zbytecznem nadawać memu zdarzeniu rozgłos, jakbym się trochę wstydział tego, że żyję, kiedy mnie wszyscy mają za zmarłego. W przeciągu godziny zdołałem zatrzeć wszelki ślad. I wyskoczyłem z jamy.

Jakaż piękna noc!... Cisza głęboka zaległa cmentarz. Czarne cienie drzew rysowały się nieruchomo wśród tłumu białych grobowców. Rozejrzawszy się lepiej, spostrzegłem, że pół nieba płonie jakby luną pożogi. To Paryż był w tej stronie! Skierowałem tam zaraz moje kroki, aleją ciemną od obrastających ją drzew. Uszedłszy jednak z pięćset metrów tak się zadyszałem, że musiał usiąść dla odpoczynku na kamiennej ławeczce. Przypatrzyłem się sobie: byłem kompletnie ubrany, brakło mi tylko kapelusza. Jakżem był w owej chwili wdzięczny mej drogiej Małgorzacie za tę czułą troskliwość, z jaką zajęła się moim strojem, nim mnie złożono do trumny. Ale nagle przypomnienie Małgorzaty dźwignęło mnie na nogi. Zapragnąłem ją coperędzej zobaczyć.

Na samym końcu alei zagroził mi drogę mur. Wszedłszy na jakiś nagrobek, wspiąłem się i zeskoczyłem z drugiej strony. Skok był porządny, nie przyprawił mnie jednak o żadną szkodę, tak, że puściłem się natychmiast w dalszą drogę szerokim, pustym gościńcem, który okalał cmentarz.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, gdzie jestem, powtarzałem sobie jednak z uporem, że wróciwszy do Paryża, odszukam przecież z łatwością ulicę Dauphiné. Ludzie mnie mijali, nie odzywałem się jednak do nikogo, bojąc się wtajemniczać nieznanym w me położenie rozpytywaniem o drogę. Dziś zdaję sobie w zupełności sprawę, że miałem podówczas potężną gorączkę i myślałem jak człowiek w malignie. Aż kiedy mi przyszło skręcić na główną szosę, nagły błysk słońca, które mi bryznęło prosto w oczy, tak mnie olśnił, że padłem jak kłoda na bruk.

W tem miejscu w życiu mojem przypada luka. Przez trzy tygodnie byłem bez przytomności. Kiedym się z mego stanu ocknął wreszcie, ujrzałem się w jakimś pokoju nieznanym mi zupełnie. Pielęgnujący mnie człowiek opowiedział mi z prostotą, że napotkawszy mnie pewnego ranka zemdlonego na bulwarze Montparnasse, wziął mnie do siebie, gdzie jestem dotąd. Był to stary lekarz, który wycofał się już z praktyki. Kiedym mu począł dziękować, obruszył się, szorstko mi przerywając, że mnie przygarnął dla studyów, ponieważ go zaciekawil mój wypadek. Zresztą w pierwszych dniach rekonwalescencji zabronił mi surowo zadawać mu jakiegokolwiek pytania, sam zaś ani wtenczas ani później nie wypytywał mnie o nic. Ośm dni jeszcze przeleżałem w łóżku w absolutnym spokoju, nie natężając nawet pamięci rozmyślaniami, bo nawet wspomnienia zbyt były męczące dla osłabionej mej głowy. Od czasu do czasu wszakże począł mnie już nawiedzać wstyd i niepokój, czy mającąc w gorączce, nie wygadałem się wobec tego człowieka z jakim imieniem lub faktem, ale lekarz nie uczynił nigdy najmniejszej aluzji, mogącej usprawiedliwić me obawy. Dobroć jego nie wykroczyła ni razu z granic dyskrecyi.

Tymczasem przyszło lato. Pewnego czerwcowego rana uzyskałem nakoniec pozwolenie na krótką przechadzkę. Przecudnyż to był poranek, jeden z tych pełnych słonecznej radości świtów, co tak odmładzają ulice starego Paryża. Szedłem krok za krokiem, rozpytując przechodniów na każdym rogu o ulicę Dauphiné. Przybywszy wreszcie na nią, poznałem z trudnością hotel, w którym rozkwaterowaliśmy się za naszym przybyciem. W tej samej chwili wszakże strach mnie ogarnął iście dziecięcy. Lękałem się, że jeśli się Małgorzacie niespodzianie ukażę, gotowa paść nieżywa. Najlepiejby tedy było uwiadomić wpieryw tę staruszkę, tę panią Gabin, która mieszkała obok nas. Ponieważ atoli wciąganie pomiędzy mnie i Małgorzatę osoby trzeciej niebardzo mi przypadało do smaku, nie mogłem się zdecydować. Równocześnie w głębi mej istoty dawała mi się uczuć jak gdyby wielka próżnia, coś na kształt ofiary uczynionej sercem od dawna...

Dom cały złościł się w słońcu. Poznałem go w końcu zupełnie po trochę podejrzaną restauracyi na parterze, z której nam przynoszono jedzenie. Podniósłszy oczy, wpatrzyłem się w ostatnie z okien na trzecim piętrze, na lewo. Było szeroko rozwarte. Naraz młoda, nieuczczana kobieta w niedopiętym kaftaniku, wsparła się na niem łokciami, tuż za nią zaś ukazał się ścigający ją młody człowiek i przysunąwszy do niej usta, pocałował ją w kark. Nie była to jednak Małgorzata. Przypatrywałem się temu wszystkiemu bez żadnego zdziwienia zgoła. Zdawało mi się, że mi się to wszystko śni, a także inne jeszcze rzeczy, o których się miałem dopiero dowiedzieć.

Stałem przez chwilkę na ulicy, nie mogąc się zdecydować, czy iść na górę zapytać tę parę kochanków, śmiejących się bez ustanku w potopie słońca. Potem jednak uznałem za odpowiedniejsze wstąpić do restauracyki na dole. Musiałem być do niepoznania zmieniony, broda mi urosła w czasie mej gorączki mózgowej, policzki miałem zapadnięte...

Zaledwem usiadł przy jednym z stolików, ujrzałem panią Gabin, która przyszła z filiżanką kupić sobie kawy za dwa sous i rozsiadłszy się przed ladą, rozpoczęła z kasyerką w najlepsze codzienną paplaninę plotkarek. Nastawiłem uszu.

— I cóż? — zapytała kasyerka. — Ta biedaczka z trzeciego piętra zdecydowała się nareszcie?

— Cóż pani chcesz? — odpowiedziała pani Gabin — to jeszcze najlepsza rzecz ze wszystkich, jakie jej pozostawały do zrobienia. Pan Simoneau dawał jej tyle dowodów przychylności... Zakończył właśnie szczęśliwie swoje interesa — gruby spadek, mówiąc między nami — więc jej zaproponował, żeby z nim jechała... Ma ją ulokować u swojej ciotki, która potrzebuje zaufanej osoby do towarzystwa...

Dama za kontuarem zachichotała przy tych słowach z lekka. Ja zaś ukryłem twarz w arkuszu gazety, czując, że zaczynam drżeć i blednąć jak kreda.

— Niema najmniejszej wątpliwości, że to się zakończy małżeństwem — ponowiła z powagą pani Gabin. — Ja pani przysięgam na mój honor, nie zauważyłam między nimi nic podejrzanego. Ta mała oplakiwała bezustannie swego nieboszczyka, a młody człowiek zachowywał się jak najprzyzwoiciej... Wczoraj odjechali. Skoro żałoba się skończy, zrobią, jak sami zechcą.

W tej chwili drzwi restauracji od ulicy otworzyły się i wbiegła Dédé.

— Mamo!... czemu nie przychodzisz na górę?!... Czekam i czekam!... Chodźże!

— Zaraz. Nie nudź mnie — ofuknęła ją matka.

Dziewczynka została i usiadłszy, poczęła się przysłuchiwać rozmowie dwu kobiet z przebiegłą miną małego łobuza, rozwijającego się na paryskim bruku.

— A potem, co tu gadać — dorzuciła pani Gabin; — nieboszczyk przecie nie był wart pana Simoneau... Nie podobał mi się od pierwszej chwili ten chudziaszek... To jego ciągle postękiwanie... A przytem w kieszeni płótno!... Nie! nie!... taki mąż to czyste nieszczęście dla kobiety, co ma w żyłach krew... Tymczasem pan Simoneau i bogaty i mocny jak Turek...

— Och! Mamo! — wtrąciła się żywo Dédé — ja go raz widziałam, jak się golił... Ma całkiem obrośnięte ręce!...

— Pójdiesz ty mi stąd?... — krzyknęła stara z gniewem, wlepiając dziewczynce kulaka; — wszędzie nos wtyka, gdzie jej nie trza!...

I dodała na zakończenie:

— Wie pani co?... Bardzo dobrze tamten zrobił, że umarł... W porę!... w samą porę!

Znalazłszy się na ulicy, poczęłem się wlec krok za krokiem, jakbym miał nogi polamane. Nie mogę mimo tego powiedzieć, bym cierpiał zbyt mocno. Uśmiechnąłem się nawet, spostrzegłszy na bruku mój chudy cień, rzucony przez słońce. W istocie, byłem słabeusz... Dzika to była z mojej strony myśl, poślubić Małgorzatę... I przypomniałem sobie jej znudzenie w Guérande, napady zniecierpliwienia, jej życie smutne i pełne trudów... Pomimo tego wszystkiego kochane moje kobieciątko okazywało mi zawsze tyle dobroci... Nie byłem jednak nigdy — widzę to dopiero teraz — jej kochankiem, a jeżeli płakała po mnie, to tylko jak po bracie...

Po cóż więc stawać raz drugi w poprzek jej życiu?... W umarłym niema miejsca na zazdrość... Podniósłszy głowę, ujrzałem przed sobą ogród luksemburski. Wszedłem i siadając na jednej z ławek, oblanych słońcem, pogrążyłem się w słodczy marzeń... Myśl o Małgorzacie poczęła mnie rozrzewniać. Wyobraziłem ją sobie na prowincyi, w małym miasteczku, bardzo szczęśliwą, bardzo kochaną, bardzo pieszczoną. Wypiękniała, urodziła trzech chłopców, dwie dziewczynki...

Dalej!... Miałem rację, przenosząc się na tamten świat i nie będę tak głupim, ani tak okrutnym, by z niego teraz powracać...

Podróżowałem wiele od tego czasu, żyłem wszędzie potrochu... Wiem, że jestem miernotą, co tylko pracuje na chleb, a potem go zjada — jak tyłu... Toż śmierć mnie już dziś nie przestrasza — ale o dziwo! zdaje się nie chcieć mnie teraz, kiedym postradał wszelką rację istnienia — to też obawiam się, aby nie chciała zapomnieć o mnie zupełnie.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zgon-oliwiera-becaille>

Tekst opracowany na podstawie: Emil Zola, *Zgon Oliwiera Becaille*, tłum. Z. Niedźwiecki, Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla, Lwów-Złoczów, 1909.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowską, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

Okładka na podstawie: amy gizenski@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-1085-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.